

MRO CZNA  
SERIA

MARIUSZ

CZUBAJ

kołysanka  
dla mordercy



w  
ab  
two



Mariusz Czubaj (ur. 1969) – antropolog kultury, wykładowca w Szkole Wyższej Psychologii Społecznej w Warszawie. Autor książek: *Biodra Elvisa Presleya*. *Od paleoherosów do neofanów* (2007), *W stronę miejskiej utopii* (2007), *Krwawa setka. 100 najważniejszych powieści kryminalnych* (razem z Wojciechem J. Bursztą, 2007) oraz *Etnolog w Mieście Grzechu. Powieść kryminalna jako świadectwo antropologiczne* (2010). Jego powieść kryminalna *21:37* (W.A.B. 2008), której bohaterem jest Rudolf Heinz, otrzymała Nagrodę Wielkiego Kalibru.

Z Markiem Krajewskim napisał dwa kryminały o nadkomisarzu Paterze: *Aleję samobójców* (W.A.B. 2008) oraz *Róże cmentarne* (W.A.B. 2009). Obecnie pracuje nad trzecim kryminałem o Heinzu.

MARIUSZ  
**CZUBAJ**

---

**kołysanka  
dla mordercy**

Copyright © by Wydawnictwo W.A.B., 2011  
Wydanie I  
Warszawa 2011

*And I know that in the morning  
I will wake up in the shivering cold  
And the spiderman is always hungry*

The Cure, *Lullaby*

*Because something is happening here  
But you don't know what it is  
Do you, Mister Jones?*

Bob Dylan, *Ballad of a Thin Man*



## Prolog

Był pewien, że tej rozmowy nie zapomni do końca życia. Albo zrobi coś szalonego, by o niej zapomnieć.

Siedzieli przy barze i popijali whisky. Dwaj starzejący się biznesmeni w Starym Młynie Spa. Przed chwilą doświadczył na własnej skórze, że czas nie zatrzymał się w miejscu. Podszedł do atrakcyjnych dziewczyn i zaproponował im drinka. Brunetka wyjęła słuchawkę z ucha, druga wciąż łączyła telefon komórkowy z jej koleżanką. Przypatrywała się mężczyźnie uważnie, jakby próbowała oszacować, ile wydał na swoje ubranie. Albo jakby patrzyła na rzadki okaz zoologiczny. Ta druga, ruda, o ognistych włosach, utkwiała wzrok w rozłożonym na stoliku folderze. Fototerapia, aromaterapia, łaźnia parowa czy jacuzzi w ogrodzie pośród zieleni? Ciekawe, co sobie zaplanowała w rajskim spa na Mazurach? Stopą uderzała rytmicznie w nóżkę stolika, jakby ten ruch miał jej pomóc w podjęciu decyzji.

Brunetka pociągnęła drinka przez słomkę. W szklance za-bulgotało.

- Mamy sobie wybrać, tak pan powiedział? Wie pan co, bardzo chętnie. Poproszę jeszcze drinka LP.

- Chyba nie podają tu nic takiego... - powiedział niepewnie.

- Ależ podają! - Zielone oczy spojrzały na niego. - Lady Pank. Mniej niż zero. Pan właśnie ma takie IQ, przepraszam, LP. Mniej niż zero.

Usłyszał śmiech i odwrócił się. Wieloletni wspólnik groził mu palcem. Kitka szpakowatych włosów podskakiwała mu na karku.

- Powinien pan znać ten stary przebój. To coś z czasów młodości pańskiego syna. Albo córki - prychnęła i z powrotem włożyła słuchawkę do ucha.

Rozmowa była zakończona. Zaproszenie nie zostało przyjęte.

Szyja i klatka piersiowa zaczęły go gwałtownie piec. I nie był to efekt sierpniowego słońca, grzejącego nadzwyczaj mocno w ostatni weekend wakacji. Poczul ucisk na pęcherz. Musi pójść do toalety.

Stał przy pisuarze. Przymknął oczy. Nikt i nic nie zepsuje mu dobrego humoru. Zwłaszcza te dwie dziewczyny. Nie żałował, że zdecydował się na weekendowy wyjazd. Podciągnął opadające spodnie. Podszedł do umywalki i ochłapał twarz zimną wodą. Poczul ulgę. Szyja przestała piec. Wszystko wróciło do normy. Delektował się tym stanem przez krótką chwilę. Zbyt krótką chwilę.

- Współczuję panu - usłyszał głos za plecami.

Drgnął gwałtownie. Wydawało mu się, że w toalecie oprócz niego nie ma nikogo. Nerwowo wytarł twarz papierowym ręcznikiem.

- Pan Mateusz Dudziński, prawda? Z Warszawy.

To było raczej stwierdzenie niż pytanie.

- My się chyba nie znamy... - powiedział.

Nieznajomy przewyższał go o głowę. Był młodszy, miał najwyżej pięćdziesiąt lat. Krzaczaste brwi i śniada cera mężczyzny rzucały się w oczy. Trudno było nie dostrzec czegoś jeszcze: muskularnych bicepsów częściowo skrytych pod koszulą z krótkim rękawem oraz blizny ciągnącej się niemal przez całe lewe przedramię.

Chciał wyjść, ale tamten przewidział jego ruch i stanął w drzwiach. Poruszał się miękko, jak kot. Chyba właśnie ten ruch, zdecydowany, a zarazem wykonany od niechcenia, sprawił, że zaczął się bać. Poczul ukłucie pod łopatką. Z trudem przelknął ślinę.

– Współczuję panu, bo pan się niczego nie nauczy. – Mężczyzna mówił poprawnie po polsku, ale z wyraźnym obcym akcentem. – Wtedy też kończyło się lato... – powiedział cicho. – Ile to już czasu minęło? Trzynaście... nie – poprawił się. – Będzie czternaście lat.

Dudziński cofnął się. Chciał krzyknąć, ale coś sprawiało, że nie mógł wydobyć głosu.

– Przypomniał już pan sobie tę dziewczynę?

– Nie wiem, o czym pan mówi – szepnął. – Zostaw mnie w spokoju, przyjacielu.

Sklamał. Nie musiał sobie niczego przypominać. Pamiętał ją doskonale. A mężczyzna, który stał naprzeciwko, wiedział o tym dobrze.

– Pamiętasz. – Głos mężczyzny stwardniał. – Nawet umierając, będziesz o tym pamiętał. Takich rzeczy się nie zapomina. I nie mów do mnie: przyjacielu – usłyszał gniewny ton. – Nie jestem twój *barekam*\*.

Zacisnął powieki. To nie może być prawda. Takie spotkania się nie zdarzają. Nie w spa na Mazurach, absurdalna myśl zawirowała mu w głowie. Gdy otworzył oczy, nieznajomego nie było. Jakby rozplynął się w powietrzu. Znikł równie bezszelestnie, jak się pojawił.

Wrócił do sali. Dziewczyny też zniknęły. Miał je gdzieś. Bar opustoszał. Jego towarzysz pewnie poszedł się przebrać. Chrzanić go i jego interesy.

Weekend w starym młynie przerobionym na gigantyczny salon urody skończył się dla niego w jednej chwili. Jakby ktoś gwałtownie odciął mu tlen. Poszedł do pokoju i oznaj-

---

\* *barekam* (orm.) – przyjaciel

mił zaskoczonemu współnikowi, że wyjeżdża. Drżały mu ręce. Nie słuchał pytań. Nie chciał się wdawać w dyskusję. Sięgnął po koszulę wiszącą na oparciu krzesła, wrzucił ją do torby i wyszedł. Jeśli coś zostawił, to trudno.

Zbiegł po schodach i usłyszał swoje imię. „Mateusz Duziński, prawda? Z Warszawy”. Nerwowo spojrzął w górę. Nie. Przy balustradzie nie stał nieznajomy mężczyzna. Zobaczył głowę swojego współnika. Wybiegł na parking.

Chevrolet suburban mknął, jakby brał udział w Rajdzie Polski. Miał szczęście. Ominął kontrole drogowe ustawione w ramach akcji „Bezpieczny powrót do domu”. Dopiero pod Warszawą utknął w korkach.

Był ostatni dzień sierpnia 2008 roku. Zbliżała się dwudziesta druga trzydziści, gdy pilotem otworzył bramę wjazdową na posesję. Zanim wszedł do środka, rozejrzał się niepewnie, jakby się bał, że ktoś czai się w ogromnym pustym domu. Na wyświetlaczu telefonu zobaczył dziesięć nieodebranych połączeń. Wszystkie od współnika, który pozostał w Starym Młynie Spa.

Dwa tygodnie później dostał tę przesyłkę. Otworzył niewielkich rozmiarów paczuszkę i zmarł z przerażenia.

Zrozumiał, że już się nie wycofa. Decyzja zapadła. Wykona ruch, po którym zmieni się jego całe życie. Jedna tylko sprawa została mu do załatwienia. Jeden krok.

Miesiąc potem już nie żył.

Część I

Dół

# 1

Wypatrywał swojej ofiary. Wiedział, że zaraz się pojawi.

Przed trzema tygodniami, gdy był na cmentarzu, ostatecznie podjął decyzję. Wrześniowe popołudnia były wtedy ciepłe, ale gdy nastawał zmierzch, czuło się nadchodzącą jesień. Kilka razy w chłodne, wilgotne wieczory i mgliste poranki czuł gwałtowny przyływ bólu. Już wiele lat temu zdał sobie sprawę, że powracające z okrutną regularnością ataki nie przypominają stanów, których doświadczają inni chorzy. To prawda, inni też martwieli z przerażenia i bali się poruszyć. Jednak w jego przypadku nie chodziło o fizyczne dolegliwości. Trwał w bezruchu jakby w obawie, że nawet najlżejsze drgnięcie przywoła znów do życia tę potworną zwalistą postać. Tak, choroby to co innego. Cierpienie i strach kojarzyły mu się z twarzą człowieka. Jedyne go człowieka, którego w swoim życiu nie nawidził.

Tak było do niedawna. Ale już nie teraz. Teraz stał się kimś zupełnie innym. Gdy zdecydował się tam, na cmentarzu, wyzwolił się z przeszłości. Pokonał ją. Teraz, kiedy pracował, a jego dłonie wykonywały przez lata wyćwiczone ruchy, myślami przebywał w innym świecie. W świecie, do którego miał się dopiero wedrzeć jako nieproszony gość.

Myślał o polowaniu. I szukaniu odpowiedniej zwierzyny. Polowanie i zwierzyna. Sam nie wiedział, skąd wzięło mu się takie porównanie. Przecież odgłos wystrzału przyprawiał go o gęśią skórkę. Nawet wtedy, gdy strzelano w telewizyjnym serialu.

Miał dużo czasu i był cierpliwy. Wszystko dokładnie zaplanował. Starannie wybrał czas i miejsce. Godzinami krążył wokół olbrzymich hal ozdobionych napisami Auchan i Leroy Merlin. Hipermarkety przypominały mu gigantycznych rozmiarów pudełko. W dzieciństwie bawił się podobnymi, tylko, rzecz jasna, mniejszymi. Wolał jednak nie myśleć o przeszłości.

Wreszcie zdecydował.

To stanie się tu. Niedaleko wjazdu do kanałów ciepłowniczych przy ulicy Elektronowej. Był pewien, że nikt przypadkowy nie zabłąka się w księżycowym krajobrazie Żerania, nie przeszkodzi mu i nie narobi kłopotów. Będą tylko we dwóch. Myśliwy i niczego nie spodziewająca się zwierzyna, która zmierza ufnie wprost w zastawioną pułapkę.

Potrafił bardzo długo włóczyć się po okolicy. Kupił wędkę i wyciągnął z piwnicy wiaderko, by upodobnić się do wędkarzy łowiących nad Wisłą. Wraz z nadchodzącą jesienią przybywało bezdomnych w okolicach elektrociepłowni i żerańskiego kanału. Jakby się rozmnażali w zawrotnym tempie i wiedzeni instynktem przetrwania, przybywali do podziemnych korytarzy i zimowych schronisk.

Nauczył się rozpoznawać twarze tych nurków, którzy pracowali w duetach. Wykluczył ich od razu. Za dużo komplikacji, zbyt wielkie ryzyko. Szukał samotnika. Kogoś, kto chodzi własnymi ścieżkami. Raz wydawało mu się już, że trafił idealnie. I o mało się nie pomylił. Nurek jednak nie był sam, a on tylko stracił czas na bezowocne poszukiwania.

Drobne niepowodzenie nie wyprowadziło go z równowagi. Nauczyło większej przeczności. Polowanie to zajęcie dla

cierpliwych. A on, przez te wszystkie lata, gdy trwał w uśpieniu, wyrobił w sobie umiejętność czekania.

W końcu znalazł idealną ofiarę. Po raz pierwszy zobaczył go przy hipermarkecie budowlanym. Nurek zbierał kartony rozrzucone wokół śmietników. Gniótł je i kładł na zardzewiałym wózku, z którego wystawał postrzępiony materac. Mężczyzna przewiązał swoją zdobycz sznurkiem i potoczył wózek w kierunku Elektronowej. Skrzywienie powyginanych kół ustało, gdy dotarł do wjazdu. Wtedy sięgnął do kieszeni, podniósł dłoń do ust i odchylił głowę. Pił łapczywie. Po chwili zniknął w kanałach.

Następnego dnia zobaczył go znowu. Wszystko odbyło się prawie tak samo. Tym razem nurek ciągnął na wózku prostokątny przedmiot, który okazał się drewnianą szafką. Wtedy myśliwy zrozumiał. Materac. Szafka. Najwyraźniej wprowadzał się. Nowy lokator w podziemnym labiryncie. Nie przeżyje zimy, pomyślał myśliwy. Nie doczeka nawet późnej jesieni.

Obserwował go prawie tydzień. Nurek powracał do wjazdu z zadziwiającą regularnością, zawsze około wpół do siódmej wieczorem. Ostatni etap wędrówki stanowiły śmietniki hipermarketów. Nie wraca później, bo jest nowy i boi się, że ktoś zajmie jego miejsce albo zabierze mu rzeczy. A może słyszał, że czasami tysiące młodzieńcy z Tarchomina, Białoleki albo Bródna robią naloty w tych okolicach. Podobnie jak on teraz, tamci urządzają swoje polowania. Skinheadzi polują na śmieci, a on...

Zresztą nieważne. Ważne było to, że regularność, z jaką nurek przybywał w okolice wjazdu, ułatwiała zadanie. Szósta trzydzieści po południu. I ostatni odcinek, który można pokonać tylko jedną drogą. Tu przetną się ich ścieżki. To stanie się w tym miejscu.

Przygotował się starannie. Od trzech tygodni nie golił się i nieregularny, niechlujny zarost pokrył jego policzki. Zakupy zaczął robić w sklepach oddalonych od domu, by

nie rzucać się w oczy znajomym ekspedientkom. Z garażu przyniósł poplamione spodnie, czarny sweter i zniszczone adidasy. Ostatni raz miał je na sobie, gdy odnawiał dom.

Odnalazł zielony wojskowy plecak pamiętający odległe licealne czasy. Do środka włożył ubranie, kilka foliowych toreb oraz sporych rozmiarów sekator przeznaczony do cięcia żywopłotu. Plecak zaniósł do gabinetu. Na stole z nierdzewnej stali leżały dwie napełnione strzykawkami. Podniósł je do światła. Zmrużył oczy. Delikatnie nacisnął tłok. Ciemny płyn dotarł do końca cylindra i kropla zawisała na szczycie igły. Uśmiechnął się sam do siebie. Więc tak to się odbędzie.

Kierując się w stronę żerańskich kanałów, zahaczył o Biedronkę. Za trzy złote i dziewięćdziesiąt pięć groszy kupił wino Amarena. Niezły mózgotrzep. Ciekawe, jak nurkowie je nazywają? Dokupił papierosy. Zgniół w dłoni paczkę fajrantów. Taka wygnieciona będzie wyglądała lepiej. Był z siebie zadowolony. Pokiwał głową jak nauczyciel, który z uznaniem wysłuchuje ucznia. Musi dbać o szczegóły. Zwierzyna nie może poczuć zagrożenia, nie może się domyśleć, że jest namierzona. Że jest na celowniku. Że jest już trupem.

W samochodzie zdjął nakrętkę i wsypał do butelki z jabłkiem kilka pigulek. Zaparkował na miejscach przeznaczonych dla klientów Leroy Merlin. Wcześniej, zanim dojechał, zatrzymał granatowego fordą, zszedł w kierunku Wisły i założył stare ubranie. Spojrzał na dymiące kominy elektrociepłowni Żerań. Teraz nie różnił się niczym od budowlańców w pochłapanych farbą i gipsem ubraniach. W sklepie zwanym potocznie „lirojem” ruch był niewielki. Może dlatego, że poniedziałek, a może ze względu na kryzys? Co go to zresztą obchodzi? Skarcił się w duchu i zacisnął mocniej dłoń na pasku plecaka. Nie może się rozpraszać. Przez cały czas musi być skoncentrowany. Nie przyjechał tu przecież na zakupy. Był tu w zupełnie innym celu.

Zaklął pod nosem. Szczegóły. Zapomniał o drobiazgu. A przecież drobiazgi zawsze są ważne. Przecież nie będą rozmawiali na stojąco. Zwierzyna nie może się niczego spodziewać. Muszą na czymś usiąść. Na czym? Nie wziął niczego ze sobą. Podszedł do śmietnika i ku swojemu zdumieniu, zobaczył pękniętą na pół plastikową obudowę komputera. Uznał, że nadaje się idealnie. Wziął ją ze sobą i poszedł w stronę włazu.

Siedział na plastikowej obudowie, drugą część postawił naprzeciwko siebie i czekał. Zaczął drzeć z zimna. Wtulił głowę w ramiona. Kwadrans później usłyszał cichy, znajomy zgrzyt. Odgłos stawał się coraz wyraźniejszy. Nurek, pochylony jak bokser, z trudem pchał swój dobytek.

– Znasz go? Kruchego Władka. Szukam... – Myśliwy zawiesił głos.

Nurek podniósł głowę i przyglądał się mu ciekawie. Otworzył usta. Nie spodziewał się nieproszonych gości.

– Jakiego Władka? – wybelkotał wreszcie. Albo miał wadę wymowy, albo za dużo już wypił. Podtoczył wózek i raz jeszcze przyjrzał się nieznanemu. Nigdy wcześniej go nie widział. To żaden z jego kumpli. A potem zobaczył butelkę postawioną obok plecaka.

– Może znam, a może nie znam – burknął. – Co tam masz? – Wskazał na flaszkę. – To chyba nie denat?

– Nie, nie denaturat – mruknął myśliwy. Sięgnął po wino. – Jak chcesz, to masz, napij się.

Kloszard schylił się i łąpczywie wyciągnął drżącą rękę. Miał olbrzymie, brudne dłonie pokryte strupami. Wyglądały, jakby ktoś przypalał je papierosami.

Nurek wypił zachłannie kilka łyków, beknął i usiadł na plastikowej obudowie. Wymieszany odór potu, wina i zepsutych zębów sprawił, że myśliwy odruchowo wyprostował się. Popatrzył na zniszczoną twarz, która równie dobrze mogła należeć do czterdziesto-, jak i sześćdziesięcioletka.

- Nie znam cię - wyseplenił kloszard. - Nie jesteś stąd. Jak się nazywasz?

- Nazywam się Karitas. Rozdaję wino. I szukam Kruchego Władka.

Bezdomny zacisnął dłoń na butelce i zaczął się śmiać. Zlepione włosy opadły na twarz. Odgarnął je ręką.

- Karitas... A to dobre. Podobasz mi się, gościu. A czy Karitas może ma przypadkiem fajka?

Ujrzał przed sobą zmalretowaną paczkę fajrantów.

- Władka szukam - usłyszał cichy głos. - Razem kopaliśmy rowy. Melioracje, nie? Wtedy to na rowerze jeździłem do roboty. Piętnaście kilometrów w jedną stronę, piętnaście w drugą i tak cały miesiąc. Wyobrażasz sobie? A wiatr wiał zawsze w twarz, nigdy w plecy. Zawsze w twarz - powtórzył i zamilkł. - Bo biednemu wiatr zawsze w oczy.

- Ja tu jeszcze nie znam nikogo. Byłem tam, w Gołędzino-wie. - Nurek kiwnął głową. - Wiesz gdzie? - Zaczął dłubać brudnym paznokciem w zębach.

Myśliwy mruknął coś pod nosem.

- No tam, na Jagiellońskiej. Na tyłach FSO. Mieszkałem z tymi skurwielami, co potem zaproszyli ogień. Całe szczęście wyniosłem się wcześniej. Jeden się spalił. Tu mam spokój. Nikt nic ode mnie nie chce. Zupełnie jak wtedy, gdy robiłem w parku krajobrazowym. Drzewo upadnie, to sobie leży. Nikt się nie przypierdala. Jak ciepło, to i ty leżysz. I patrzysz na dęby kandelabrowe. Spokojna robota. Dlatego taki młody na gębie wciąż jestem. Młody jak bandyta! - Zaśmiał się i kolejny raz sięgnął po butelkę.

Zapadła cisza. Zrobiło się ciemno.

Myśliwy rozejrzył się. Wokół nie było nikogo. Uznał, że czas kończyć.

Odchylona głowa.

Przymknięte oczy.

Uśmiech na zniszczonej twarzy.

Jabol przytknięty do sinych warg.

Wstał i z całej siły kopnął w spód butelki. Nie wiedział, czy słyszy zgrzyt pękającego szkła, czy łamanych zębów. Pewno jedno i drugie naraz. Nurek upadł na plecy z rozłożonymi ramionami. Butelka cały czas tkwiła w jego ustach.

– Chciał, bym śpiewał mu do snu... – Pochylił się nad bezdomnym i wpatrywał się w białka jego oczu. – Też ci zaśpiewam. – Sięgnął do plecaka. – Ale z ciebie śmieć. Gówniany śmieć – mówił z nienawiścią w głosie. – I po co się śmiałeś? Śmiałeś się. Nawet nie zauważyłeś, że mam na dłoniach rękawiczki – szeptał gorączkowo. – A wiesz, dlaczego je mam?

Belkot, jęk i szloch zmieszały się ze sobą.

– Za późno... To przyszło o wiele lat za późno – mamrotał myśliwy do siebie.

Kloszard z trudem uniósł głowę i zobaczył strzykawkę w dłoni nieznajomego. Chciał wstać, ale nie miał siły.

Igła nieubłaganie zbliżała się do jego serca.

– Twoja kołysanka – wyszeptał mężczyzna. – Zaraz będzie po wszystkim.

To było ostatnie zdanie, jakie usłyszał, umierając.

Myśliwy wpatrywał się w swoją ofiarę. Poczul, jak gwałtowny powiew lodowatego wiatru przeszywa mu nerki.

– Takich jak on... – urwał. – Takich jak ty...

Odwrócił się i rozpiął plecak.

Wyjął sekator. Na ubranie założył foliowy płaszcz przeciwdeszczowy.

Jeszcze chwila i było po wszystkim.

Zegar w samochodzie wskazywał siódmą, gdy włączył silnik. Spojrzał na komórkę. Pokazywała tę samą godzinę. Szybko poszło. Tam przy kanale czas dłużył mu się w nieskończoność.

Był pewien, że nikt go nie widział. Sięgnął do schowka i wyjął paczkę davidoffów. Starał się ograniczyć palenie, ale dziś postanowił sobie nie odmawiać. Przecież to jego wielki dzień. Prawdziwe święto.

Włączył radio. Dowiedział się, że rząd niemiecki pomoże największemu krajowemu bankowi i że Islandia bankrutuje.

6 października 2008 roku był kolejnym czarnym dniem światowej gospodarki. Jakby na potwierdzenie tych słów po wiadomościach zabrzmiał stary przebój The Boomtown Rats *I Don't Like Mondays*.

Pierwszy raz tego dnia się uśmiechnął. W przeciwieństwie do śpiewającego Boba Geldofa on lubi poniedziałki.

Wypuścił dym i uchylił okno w samochodzie. Dzisiaj zaśnie spokojnie. Był tego pewien.

Od dziś poniedziałki będzie lubił szczególnie.

## 2

Myślę, że źle diagnozuje pan swój problem, panie komisarzu.

Dwukrotnie, przy słowach „źle” oraz „problem”, uderzyła pomalowanymi na czerwono paznokciami w blat biurka, jakby chciała nadać dodatkowe znaczenie swojej wypowiedzi.

Siedzący naprzeciw niej mężczyzna podrapał się w policzek. Kilkudniowy siwiejący zarost postarzał go. Podobnie jak sklezione na głowie włosy odstające we wszystkich możliwych kierunkach i ciemne obwódki pod oczami, a wysłużona sztruksowa marynarka z łatami na łokciach kojarzyła się z lumpeksem.

Rudolf Heinz, policjant z second handu. Komisarz zleżalego gatunku.

Heinz patrzył na atrakcyjną doktor psychiatrii i czuł, że rzeczywiście należy do czasów, które bezpowrotnie minęły.

To było ich trzecie spotkanie. Trzecia runda, a z każdą kolejną komisarz czuł się coraz bardziej osłabiony. Rano, gdy przypatrywał się uważnie swojej twarzy w lustrze, pomyślał, że te wizyty go wykończą. Jeszcze dwa starcia i ktoś będzie musiał rzucić ręcznik na ring. Zaczęło się całkiem niewinnie, za pierwszym razem czuł nawet, że może polubić tę kobietę. Gra wstępna skończyła się, gdy zapytała o jego najbliższą rodzinę.

Rodzina. To słowo wywoływało w nim bolesne wspomnienia. Działo z siłą elektrowstrząsów. Gównu pani do tego, pomyślał wtedy. Nikt nie będzie mnie terapeutyzować. I pouczać, jak mam żyć.

Policjant i lekarka od czubków. Prawie jak w hollywoodzkim kryminale.

Jeszcze chwila i eksploduje.

– Po prostu, jak to mówią, klękla mi psycha, rozumie pani? – powoli wychrypiął każde słowo, jakby ważył je w myślach. Bolało go gardło. Ale był sam sobie winien. Mógł wieczorem nie pić trzech piastów, które zalegały w zamrażarce.

– Od lat mam kłopoty ze snem. Ale nauczyłem się zasypiać przy muzyce. Od jakiegoś czasu i to nie pomaga. Piwo też już nie pomaga, a środki nasenne mnie zamulają, pani doktor. Potrzebuję więcej czasu, by dojść do siebie. Jeszcze trochę czasu.

Odwrócił głowę w stronę ściany. Znow widzi tę kobietę. Popatrzył na regał wypełniony głównie anglojęzyczną literaturą z dziedziny psychiatrii i psychologii. I jakieś opasłe trzy tomy po polsku. Ciekawe, czy kiedykolwiek do tych książek zajrzała? Czy stoją tylko po to, by podkreślić jej wątpliwe kompetencje? Wątpliwe, bo się do niej zraził: to jego subiektywne odczucie.

Pomyślał, że kiedyś było prościej. Gdy jeszcze pracował Chodźko. Tamten patrzył na człowieka, ciężko wzdychał i dawał dwa tygodnie zwolnienia bez pytania. A potem kolejny tydzień. Ale Chodźko też już należał do przeszłości.

- Podsumujmy nasze dwie poprzednie sesje - powiedziała i spojrzała na monitor laptopa. Tu też zaszła zmiana. Chodźko zawsze sporządzał odręczne notatki. - Korzysta pan z poradni od wielu lat..

- Jak pani wie, nie ja jeden w moim fachu - wtrącił szybko.

- Jak - zabębniła paznokciem - prawie każdy policjant. Uzależnienie alkoholowe, depresja, wielokrotne przerwy w pracy... - odczytywała z ekranu beznamiętnym głosem kartę pacjenta.

- Czyta to pani tak jak przepis na ciasto babuni. A przecież - uniósł głos - to, kurwa, moje życie!

Znieruchomiała.

- Słucham, komisarzu?

Patrzył jej teraz prosto w oczy.

- Czy widziała pani kiedyś związaną kobietę, torturowaną i spaloną żywcem? Tak jak paliło się kiedyś czarownicy na stosie? Bo ja widziałem i powiem pani...

- Że ja też jestem taką wiedźmą? - Uśmiechnęła się. - Nie robi to na mnie wrażenia. Rozmawiałam natomiast z pańskim szefem, naczelnikiem Kościukiem... - zawiesiła głos, a Heinz wstrzymał oddech.

- I co powiedział pani ten gejzer intelektu?

- By przestał się pan wygłupiać. Wrócił do wydziału. Albo - wyczuł wahanie w jej głosie - przeszedł na emeryturę. Zasłużoną emeryturę, jak podkreślał naczelnik.

Heinz poczerwieniał na twarzy i chwycił za krawędzie biurka. Miał już wykrzyzczyć, co sądzi o radach Kościuka, gdy rozległo się pukanie. Zanim kobieta zdążyła zareagować, w drzwiach stanął otyły mężczyzna. Sapiąc, precyzyjnie się bokiem przez framugę, podszedł do kobiety i podał jej mięsistą dłoń.

- Jak sobie radzisz, Izo? Wszystko w porządku?

- Widzę, że tak ciężki przypadek jak mój diagnozujecie zespołowo. I pewnie macie lustro fenickie, zupełnie jak

u nas. – Heinz sięgnął do wewnętrznej kieszeni, by wyciągnąć paczkę chesterfieldów.

Wieloletnie przyzwyczajenie znów wzięło górę. A przecież nie palił od miesiąca.

– Pan się źle czuje, komisarzu Heinz? – zapytała Iza.

– A, więc to jest nasz sławny komisarz! – Grubas wpatrywał się w Heinza wyblakłymi oczami. – Nazywam się Marcinkowski, jestem, jak się to dziś modnie mówi, superwajzorem. Konsultuję z panią doktor rozmaite przypadki. Czy ma pan może jakieś życzenie?

Żebyś się odpierdolił.

– Chcę zapalić. Ssie mnie.

– Właśnie na tym polega błędne autodefiniowanie problemu – powiedziała Iza. – Pan chce. Wydaje się panu, że pańska wola wystarczy. Chwila odpoczynku i znów da pan sobie radę ze wszystkim. Pan chce – powtórzyła. – Ale czy pan jeszcze może?

– Czytałem – wtrącił Marcinkowski – pańską dokumentację.

Bogato w niej. Rockefeller by się nie powstydział takiego majątku. Do-bro-sta-nu-psy-chicz-ne-go. Chyba tak to nazywają w swoim żargonie.

– Może niech pan pomyśli pozytywnie. I bez takiego wewnętrznego spinania się. Zaproponuję panu – doktor próbował usiąść na skraju biurka – taką grę. Proszę wyobrazić sobie, że jest pan piłką. Taką futbolówką...

Tylko nie to, pomyślał. Tylko nie piłka nożna.

– I co?

– Niech pan wyzwoli jakieś pozytywne skojarzenia.

– Nie mam żadnych pozytywnych skojarzeń.

– No, na przykład, że jest pan bardzo ważną piłką. Że tą piłką będzie grany mecz otwarcia na Euro 2012. A potem że piłkarze składają na panu autografy. I że licytują za grubą kasę podczas finału Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy. Trochę pozytywnych emocji! W końcu nie samą destrukcją człowiek żyje.

Heinz miał dosyć. Podniósł się z krzesła i poszedł w stronę drzwi.

- Panie doktorze, ja też mam dla pana grę. - Oparł się o framugę. - Wyobraźmy sobie, że jest pan cygarem...

Marcinkowski klepnął się po nalanych udach.

- Świetne! - krzyknął. - Więc produkują mnie w najlepszej hawańskiej fabryce cygar. Pali mnie Fidel Castro. Albo mam jeszcze lepszy pomysł. - Spojrzał na Izę. - Należę do Billa Clintona. Dobrze, nie?

- Nie, doktorze.

- Słucham.

Superwajzor zamrugał oczami.

- Nie należy pan do Billa Clintona i Moniki Lewinsky. - Heinz ściszył głos. - Tak naprawdę nie jest pan cygarem. Przypomina pan psie gównno, które przezimowało w śniegu i szczęśliwe wyjrzało na światło dzienne po marcowych roztopach pod moim blokiem.

Uśmiech zamarł Marcinkowskiemu na twarzy. Iza wpatrywała się tępym wzrokiem w monitor laptopa.

- Tyle o tym - mruknął Heinz i trzasnął drzwiami.

### 3

Wprawdzie wyszedł z tego zwarcia z ciosem, ale czuł, że przegrał rundę. W gruncie rzeczy poniósł klęskę.

Biegł w stronę samochodu. Z jego ust wydobywała się para, która przypominała upragniony papierosowy dym. Miejsca parkingowe w okolicy poradni były zajęte, musiał więc zatrzymać się w jednej z bocznych uliczek. Po przebiegnięciu stu pięćdziesięciu metrów poczuł, że opada z sił. Ostatnie metry pokonał, ciężko dysząc, i oparł się o maskę.

## Spis rzeczy

Prolog

7

Część I

Dół

11

Część II

Dwunaste piętro

131

*Od autora*

285

Redakcja: Joanna Habiera  
Korekta: Małgorzata Denys, Małgorzata Kuśnierz  
Adiustacja: Zuzanna Kowalska

Projekt okładki i stron tytułowych oraz zdjęcie  
na pierwszej stronie okładki: Piotr Grabowski  
Logo serii: Marek Goebel  
Zdjęcie autora: © Aleksandra Litorowicz

Wydawnictwo W.A.B.  
02-386 Warszawa, ul. Usypiskowa 5  
tel./fax (22) 646 01 74, 646 01 75, 646 05 10, 646 05 11  
wab@wab.com.pl  
www.wab.com.pl

Skład i łamanie: Tekst – Małgorzata Krzywicka  
Piaseczno, Żółkiewskiego 7A

ISBN 978-83-7747-269-9

Mężczyzna siedział przy potężnym mahoniowym biurku. W pierwszej chwili zdawało się, że nie zauważył swojego gościa. Dopiero gdy Heinz podszedł bliżej, powolnym, wystudiowanym ruchem afrykańskiego satrapy wskazał komisarzowi masywne krzesło.

– Nie musi się pan przedstawiać. – Jego głos brzmiał łagodnie. – Pański zawód jest wypisany na twarzy.

*I vice versa, buraku.*

– Widzę – Heinz skrzywił się – że mam przed sobą kolejnego mistrza puenty. W dzieciństwie pierwszy podnosił pan paluszki do odpowiedzi, a na podwórku grał zawsze w ataku?

*Kitka szpakowatych włosów poruszyła się.*

– Jeśli będę potrzebował biografa, na pewno zwrócę się do pana. Zapewniam, że płacę dobrze.

– Tośmy sobie pogadali. – Heinz spojrział mu w oczy.



*Nowa powieść Mariusza Czubaja zdecydowanie nie jest kołysanką. To mocna kawa, i to z koniakiem!*

Marcin Wroński

Drugi kryminał z profilerem Heinzem! Jesień 2008 roku, Warszawa, zagmatwane śledztwo i seryjny zabójca...

W kanałach ciepłowniczych na Żeraniu zostaje znaleziona kolejna ofiara. Nieuchwytny morderca – nazwany przez policjantów Doktorem Śmierć – zabija bezdomnych zastrzykiem w serce, a następnie odcina denatom dłonie. Rudolf Heinz zostaje wysłany do stolicy, by pomóc w śledztwie. Okazuje się, że perfekcyjnie zaplanowane zbrodnie łączą się z tajemniczym zgonem pewnego przedsiębiorcy, który kilkanaście lat wcześniej zatrudnił w swojej fabryce imigrantki ze Wschodu.

W tle wydarzeń jak zły cień pojawia się pacjent szpitala psychiatrycznego na Śląsku, zwany Inkwizytorem, czyli morderca, który wiele lat temu omal nie pozbawił życia Rudolfa Heinza. Obaj mają ze sobą niewyrównane rachunki...